

Małgorzata Chaładus

DZIEWCZYNY Z PRL-U



Małgorzata Chaładus

**Dziewczyny
z PRL-u**

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2014

Małgorzata Chaładus

„Dziewczyny z PRL-u.”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o. 2014

Copyright © by Małgorzata Chaładus 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © Garrincha - Fotolia.com

Korekta: Paulina Józwiak

ISBN: 978-83-7900-201-6

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Chopina 9, pok. 23 , 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom.665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Rozdział I	6
Rozdział II	13
Rozdział III.....	21
Rozdział IV	27
Rozdział V	35
Rozdział VI	42
Rozdział VII	48
Rozdział VIII.....	54
Rozdział IX	65
Rozdział X.....	69
Rozdział XI	75
Rozdział XII	83
Rozdział XIII.....	90
Rozdział XIV.....	96
Rozdział XV	101
Rozdział XVI.....	110
Rozdział XVII	118
Rozdział XVIII.....	123
Rozdział XIX.....	131
Rozdział XX	137
Rozdział XXI.....	144
Rozdział XXII	150

Rozdział XXIII	157
Rozdział XXIV	165
Rozdział XXV	172
Rozdział XXVI	179
Rozdział XXVII	189
Rozdział XXVIII	198
Rozdział XXIX	208
Rozdział XXX	216
Rozdział XXXI	224
Rozdział XXXII	235
Rozdział XXXIII	244
Rozdział XXXIV	251
Rozdział XXXV	260
Rozdział XXXVI	276
Rozdział XXXVII	282
Rozdział XXX	324

Rozdział I

Annę obudziło natrętnie brzęczenie muchy. Objęła się o nagrzaną słońcem szybę upojona ciepłem. Anna zerwała się przerażona i rozejrzała dookoła. Uspokojona opadła z powrotem na poduszkę. To tylko dźwięk. Jest w domu, u siebie. Zatkęła uszy rękami/rękoma. Nienawidziła tego dźwięku, ale jeszcze bardziej nienawidziła zabijania. Choćby tylko much.

Spojrzała na zegarek. Dopiero szósta. No i niedziela przecież. Nie było się gdzie spieszyć. Przymknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Wszystkiemu winna ta przeklęta mucha.

Niechciane obrazy wciskały się pod powieki i nie dawały odpędzić. Mieszały się w poszatowany wybuchami, boleśnie chaotyczny obraz.

Obrzydliwie oblepiony muchami lep nad drewnianym, poczerniałym od brudu czy sadzy stołem. Gęsty, wyciskający łzy z oczu dym nad płonąca Warszawą. Drażniący gardło dym z pieca, zanim zajął się wilgotny chrust, który gospodarz pozwalał zbierać im w swoim lasku. Zuchowaty uśmiech matki, kiedy zdejmowała z palca szeroką obrączkę i zaręczynowy pierścionek z rubinem otoczony małymi diamentkami. A potem ten okropny płacz w nocy, tłumiony poduszką, żeby nie obudzić jej, Anny. Gorący ciężar grubej pierzyny w dusznej chałupie. No i muchy, wszędzie muchy.

Anna poczuła krople potu na czole. Wysunęła nogę spod kołdry. Po chwili odrzuciła przykrycie i postanowiła wstać. Odsunęła zasłonę i uchyliła okno. Powiało chłodem. Mucha unikała zręcznie manewrów papucia Anny usiłujących wygonić ją na chłód poranka. Odbijała się tylko czasem od podeszwy, padała oszołomiona na

parapet i po sekundzie była z powrotem na szybie. Anna wzruszyła ramionami z rezygnacją i powlokła się do kuchni. Na stole w kuchni zauważyła opartą o cukiernicę kartkę od matki. Zmarszczyła się gniewnie. Matka ciągle uważa ją za dziecko, które nie potrafi sobie samo poradzić. A przecież skończyła już piętnaście lat. Zresztą dzieckiem przestała być już dawno. Najpierw w Warszawie, kiedy po raz pierwszy widziała, jak umiera człowiek. Potem w czasie tej okropnej wędrówki w poszukiwaniu dachu nad głową. A już ostatecznie na wsi, kiedy trzeba było brnąć w półmetrowym śniegu po chrust albo do studni w miejskich półbucikach.

Sięgnęła po kartkę. Same dyrdymały, jasne, wiedziała z góry. Dziwne, że matka nie przyczepiła jeszcze smoczka do swojego liściku. Anna chwyciła ołówek i drukowanymi literami napisała w poprzek kartki: JESTEM DOROSŁA!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Przyniosło jej to niejaką ulgę. Mogła się teraz zastosować do instrukcji matki. Masło pływało we wiadrze z wodą na balkonie. Trzeba je było stamtąd zabrać, zanim słońce dojdzie. Jakby się sama nie potrafiła domyślić!

- To ja jestem przy zdrowych zmysłach - skandowała wnosząc wiadro do kuchni. Trochę wody wychlusnęło się na podłogę. Anna roztarła ją papuciem i poszła w stronę łazienki. Wanna wypełniona była wodą. Brązowawy osad pokrywał dno. Anna odkręciła kran nad umywalką. Rozległo się bulgotanie, ale nie pokazała się choćby jedna kropla wody. Jak zwykle.

Anna śmiejąc się, szorowała zęby proszkiem. Przypomniała sobie, jak wściekała się gospodyni, kiedy przyłapała ją i matkę na myciu zębów solą.

Zakichana dziura, mruzczała nalewając musztardówką wodę do umywalki.

Anna nie bardzo pamiętała Warszawę. A raczej nie pamiętała szczegółów, nazw ulic, wyglądu sąsiadów, ani nawet rozkładu ich dawnego mieszkania. Pamiętała natomiast wesole dzwonki tramwajów, bezpieczne wtulenie rąk w ciepło dłoni rodziców podczas jesiennego spaceru w Łazienkach, zapach choinki, a przede wszystkim pewność, że wszystko będzie trwało niezmiennie, że tak po prostu urządzony jest świat. I chociaż ten świat runął, czuła się nadal warszawianką. Była pewna, że wróci kiedyś z matką na właściwe dla nich miejsce. Dzierżoniów to beznadziejna dziura, niemądra pomyłka matki, żart losu. Matka na pewno to zrozumie. Przecież płakała w kinie podczas kroniki na widok zrujnowanego miasta. Z drugiej strony wydawała się coraz bardziej zadomowiona w nowym otoczeniu. Anna skrzywiła się. Wiedziała, że Antoni też byłby przeszkodą na drodze do Warszawy. Chciałby na pewno zostać na miejscu. Jego rodzina osiedliła się w Piławie, o rzut kamieniem, jak mawiał. Lubił bardzo swoją rodzinę, chociaż kłócili się ciągle o byle co. Postronnym trudno było zrozumieć, o co im właściwie chodzi, bo posługiwali się rodzinnym językiem, pełnym zawitych aluzji niezrozumiałych dla niewtajemniczonych. Annę nudziły śmiertelnie ich zagrywki i nie dawała się wciągać w słowne szermierki. Tymczasem matkę wyraźnie to wszystko bawiło. Odcinała się i sama przycinała, nic sobie nie robiła z niemądrych żartów, zbywała je śmiechem. Anna nie była pewna czy w grę wchodziło tu dziwaczne poczucie humoru, czy wzgląd na Antoniego. Zmarszczyła się. Jeżeli to drugie, to matka nie zechce wyjechać bez niego. Anna nawet lubiła Antoniego. Tylko co z tego? Lubiła też kawę z mlekiem i ciasto z kruszonką. Lubić można tysiące rzeczy i ludzi. To nie znaczy, że są niezbędni. Niezbędni są ci, których się kocha. Miłość jest czymś wyjątkowym. Nie może trafiać się raz po raz, jak katar. Matka powinna to dawno zrozumieć. Nie powinna

tak patrzeć na Antoniego. Więc jej straszny płacz wtedy, w ciemnościach wiejskiej chałupy, był definitywnym końcem jednej miłości, otwierającym drogę do kolejnej?

Anna weszła do sypialni. Nie lubiła tego pokoju z jego ciężkimi, ciemnymi, ponemieckimi meblami. Podwójne łóżko było w pośpiechu niestarannie zaścielone. Anna ze złością poprawiła kolorową narzutę. Biel nieprzysłoniętych powłoczek razila ją jak obnażone ciało. Cień masywnej, trzydrzwiowej szafy wypijał barwy z dywanika na podłodze. Anna wysunęła język do swojego odbicia w lustrze wmontowanego w środkowe drzwi szafy, a potem uśmiechnęła się z uznaniem.

- Ładna z ciebie dziewczyna - powiedziała. - Można ci śmiało dać z siedemnaście lat.

Otworzyła szufladę komody i sięgnęła po album z fotografiami. Na jasnym, marmurowym blacie wały się w nieładzie grzebienie, szczotka do włosów i zapomniana widocznie w pośpiechu szminka. Anna umalowała sobie usta, wzięła w dwa palce długi, miękki włos i z albumem pod pachą poczłapała do kuchni. Ostrożnie upuściła album na stół.

Włos nie chciał się odczepić od palców. Potrząsała dłonią nad kubłem z rosnącą irytacją. Nareszcie! Czula coraz większy głód. Niecierpliwie kroila chleb. Mleko grzało się niemiłosiernie długo. Ciśnienie gazu było tak małe, że niebieski płomyczek ledwo majaczył nad palnikiem.

Anna zajadała ze smakiem. Wygryzała mięsz z kromki, żeby skórki zostały na deser. Otwierała szeroko usta, usiłując nie zetrzeć szminki. Wytarła palce o spodnie piżamy i sięgnęła po album. Był oprawiony w jasnobezową skórę ozdobioną z frontu ornamentem z kolorowych muszelek. Pamiątka lata spędzonego kiedyś przez

rodziców w Gdyni. Matka zapakowała go do plecaka przed wygnaniem z Warszawy. Niektórzy dziwili się, po co. Zajmował tyle miejsca! Czy nie lepiej było zabrać jakieś srebra, koltarz z lisa, no cokolwiek, co nadawałoby się do handlu wymiennego? Rzeczy, dobytek, jakby to mogła być gwarancja... Złuda bezpieczeństwa. Raz są, raz ich nie ma. Są nieważne. Anna skrzywiła się i z pogardą kopnęła masywną nogę stołu. Ważne jest, że z ludźmi dzieje się tak samo. Znikają i co okropniejsze, też wydają się do zastąpienia. Otworzyła album na chybił trafił.

Ojciec w mundurze uśmiechał się tylko oczami, usta miał poważne. Gładko zaczesane włosy przedzielone równą linią przedziałka oblepiały czaszkę. Anna uświadomiła sobie ze wstydem, że nie pamięta ich koloru. Chwyliła za warkocz i przyglądała się kosmykom wahającym się między różnymi odcieniami brązu. Tak, to były zdecydowanie włosy ojca. Matka jest przecież blondynką.

- Cieszę się, że jestem do ciebie podobna - powiedziała.

Przypomniała sobie jak lubiła zaglądać do łazienki, kiedy ojciec się golił. Taki był zabawny z brodą i wąsami z białej piany. Kiedyś maznął ją pędzlem po nosie i podniósł do lustra. Zaśmiewali się oboje. Był zawsze wesoły. Dlatego nie mogła zrozumieć, co stało się tamtego dnia. Podniósł ją do góry i tak mocno przycisnął do siebie, że guziki munduru wpiły się boleśnie przez cieką sukienkę w jej brzuch. I patrzył na nią tak dziwnie, z natężeniem i powagą. Obejrzała się na matkę. Przestraszył ją wyraz napięcia na jej twarzy, łza spływająca wolno po policzku. Czowała, że matka nie zwraca na nią uwagi, że wcale jej nie widzi. Anna nie mogła sobie przypomnieć, żeby zrobiła coś złego. Dlaczego są tacy? Rozplakała się głośno.

Matka wyrwała ją ojcu, zaszlochała. Ojciec powiedział coś szybko i wyszedł. Jego kroki zadudniły po schodach. Matka podbiegła do

okna. Ojciec siedł słoneczną stroną ulicy. Obejrzał się, zasalutował i zniknął za rogiem. Potem był już tylko smutek, częste, niezrozumiałe lzy matki, strach... O śmierci ojca dowiedziała się dużo później. Miała żal do matki za jej milczenie. Myślała może, że ją oszczędza, a to było jeszcze gorsze. Jakby je przedzielał jakiś niewidoczny mur. Anna zamknęła z trzaskiem album. Jedna z muszelek odpadła i rozprysła się na podłodze. Anna wzruszyła ramionami z rezygnacją i odniosła album na miejsce. Była zadowolona, że matka nigdy nie wkleiła do niego żadnych nowych zdjęć, chociaż nie był całkiem wypełniony. Usiadła przed lustrem i watką zanurzoną w kremie ścierała starannie resztki szminki z ust. Malowanie się było w tej dziurze zbrodnią porównywalną z dzieciobójstwem, Anna uśmiechnęła się ironicznie do swojego odbicia podpuchniętymi od tarcia wargami. Istny clown! Że też na każdym kroku spotyka się tutaj belfra! Te ich kazania o byle głupstwo! Tarcza szkolna na agrafce?! Koński ogon zamiast warkoczy?! Zgroza!! Anna szarpnęła ze złością zasłonę. Blask słońca kusił zza okna. Nie ma po co wychodzić! Otworzyła drzwi szafy. Sukienki matki wisiały po lewej stronie. Walczyła z chętką bawienia się w przebieranki. Nie jest już dzieciakiem! Dlaczego by nie przymierzyć? Wzrostem dorównuje już matce. Sięgnęła po kwiecisty kreton. Wciągnęła przez głowę i zapięła haftki z boku. Nieźle. Szkoda tylko, że materiał marszczy się z przodu. Żle skrojony! Rzuciła sukienkę na łóżko i sięgnęła po następną. Też nie pasuje? Trzecia też nie? Trudno! Nie ma rady! Anna wysunęła szufladę komody i wyjęła biustonosz. Trzeba go czymś wypchać! Łapała na chybił trafił za chusteczki i mniejsze sztuki bielizny. Wystarczy! Wciągnęła z powrotem sukienkę. Leżała jak należy. Rozejrzała się za szminką i umalowała sobie usta. Rozpuściła włosy. Gdyby teraz wyszła z domu, nie rozpoznałby jej żaden belfer!

Roześmiała się głośno. Starła językiem plamkę szminki z zęba. A może byłoby bezpieczniej przebrać się za mężczyznę? Wybrała jedną z marynarek Antoniego z prawej strony szafy. Spojrzała do lustra i zwinęła się ze śmiechu. Teraz wyglądała rzeczywiście jak clown! Jeszcze tylko buty! Pobiegła na korytarz. Buty Antoniego były w sam raz, co najmniej o cztery numery za duże. Przyczłapała przed lustro. Zrobiła małą minę i wepchała ręce do kieszeni. Prawa natrafiła na sztywny prostokącik. Co to takiego? Zdjęcie Witka. Młodszy brat Antoniego, bohater spod Monte Cassino patrzył poważnie na Annę. Chyba nawet z przyganą. Dziewczyna wsunęła go z powrotem do kieszeni marynarki. Powiesiła wszystkie ubrania w szafie. Popatrzyła na stojący na nocnej szafce budzik. Naprawdę minęła dopiero godzina? Przystawiła zegarek do ucha. Tykał.

Rozdział II

Anna nie bardzo wiedziała, co zrobić z czasem. Tak się cieszyła na własny dzień, a teraz czuła, że zaczyna się nudzić. Co nie znaczy, żeby żałowała, że nie pojechała z matką i Antonim do Piławy. Nawet perspektywa kąpeli w gliniankach nie mogła przeważać konieczności przebywania z rodziną Antoniego. Było ich tak wielu. Za wielu jak na nią i na matkę. Ale czytać, siedzieć w domu w taki dzień... podeszła do półki. Przesuwała palcami po grzbietach książek. Inżynierskie mądrości Antoniego. Skrzywiła się. Tomik wierszy Baczyńskiego. Nie dzisiaj! Za smutne! Sięgnęła po leżącą na książkach broszurkę w miękkiej oprawie. Przygody Wicka i Wacka podczas okupacji. Jeszcze niedawno zaśmiewała się z nich do łez. Częstochowskie rymy. Dziecinada. Może zabrać się za Steinbecka? Promienie wdzierały się przez zasłonę, kusily. Trzeba wyjść na

słońce! Gotowe się jeszcze obrazić i schować. Anna posłała całusa w stronę blasku. Postanowiła wybrać się do Fredzi.

Fredzia nie chodziła z Anną do ogólniaka. Uczyla się na fryzjerkę. Była koleżanką jeszcze z podstawówki. Anna zwróciła najpierw uwagę na imię, które budziło w klasie wesołość. To było niesprawiedliwe. Jakby się kogoś winiło za lekkomyślność innych. Podobno ojciec chrzestny Fredzi, dla której wybrano imię Zofia, dobrze już podchmielony, przypominał sobie o dawnej ukochanej imieniem Alfreda i wymówił je głośno podczas ceremonii chrztu. A potem było już za późno na zmianę. Sama Fredzia nie bardzo przejmowała się tą gafą. Razem z koleżankami śpiewała piosenkę o pięknej Alfredzie, która zbierała w lesie róże na ślubny wieniec, aż dały jej spokój. Anna nie pochwalała tej taktyki pobijania wroga jego własną bronią, chociaż musiała przyznać, że przynosiła doraźne efekty. Zostały one zniweczone wizytą higienistki. Okazało się, że Fredzia ma wszy. Jej głowa, ku głośnej uciesze klasy, obsypana została chmurą białego proszku o przenikliwym zapachu.

- Ślubny wieniec pięknej Alfredy - pisnął jakiś dowcipniś.

Klasa zaryczała zgodnym śmiechem. Anna zerwała się z ławki, podbiegła do higienistki i wyrwała jej z ręki obłe pudełko.

- Ja też jestem zawszona! – krzyczała, posypując się proszkiem.

Matka została potem wezwana do szkoły i wysłuchała oburzonej opowieści wychowawczyni, ale widać było po niej, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

- Nie wiedziałam, że mieszkam pod jednym dachem z obrończynią uciśnionych - skwitowała to zdarzenie i zafundowała Annie i Fredzi lody.

- Kawa stygnie - przysunął filiżankę matce.